

TEMAT
TYGODNIA

- 10 Jędrzej Winiecki
Polskie pany

DOSSIER

- 14 Adam Grzeszak
Krajowa lista płac

KRAJ

- 19 Joanna Podgórska
Rodzinna produkcja grubasów
- 22 Joanna Podgórska
Dekrucyfikacja na komendzie
- 24 Grzegorz Rzeczkowski
Stowarzyszenie ofiar IPN
- 27 Rozmowa z **Agnieszką Sieniawską** o złym polskim prawie narkotykowym
- 30 Malwina Dziedzic
Stanisław Pięta – PiS w koncentracji
- 32 Joanna Cieśla
Miss Polski na wózku
- 34 Ryszarda Socha
Spór o pamiątki po Solidarności

RYNEK

- 36 Cezary Kowanda
Babiś – czeski Berlusconi?
- 40 Piotr Pytlakowski
Komu szkodzi walka z paleniem

ŚWIAT

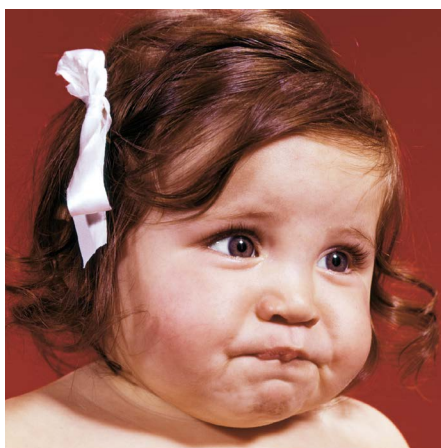
- 42 Łukasz Wójcik USA
Amerykańska światowa rewolucja gazowa
- 45 Joanna Orzechowska
FRANCJA **Francuzi nie lubią ojczyzny**
- 48 Paulina Wilk
AZJA POŁUDNIOWA
Buddyści ekstremiści
- 50 Edwin Bendyk
Człowiek, który kupił „Washington Post”

HISTORIA

- 52 Jarosław Pałka
Jak przez lata pisano biografię marszałka Żymierskiego



14 Ujawniamy zarobki Polaków



19 Dzieciaki spaślaki



90 Z dziejów stanika i majtek



100 Po lodach Kołymy

- 55 Ludwik Stomma
Saladyn – legenda z morałem

NAUKA

- 58 Jacek Kubiak
Ognisty spór o nowe komórki macierzyste

TECHNOECHO

KULTURA

- 68 Justyna Sobolewska
Polska, Polacy, polskość – czyli czym zajmuje się nasza literatura
- 71 KAWIARNIA LITERACKA
Krzysztof Siwczyk
- 72 Sebastian Frąckiewicz
Żydzi w komiksie
- 76 Olaf Szewczyk
Anna Anthropy – skandalistka gier wideo
- 78 Mirosław Pęczak
Popisy na organkach
- 81 MEA PULPA Kuby
Wojewódzkiego

LATO W DOBRYM
TOWARZYSTWIE

- 82 Sidney Polak
Zaślubiony w Brazylii

LUDZIE I STYLE

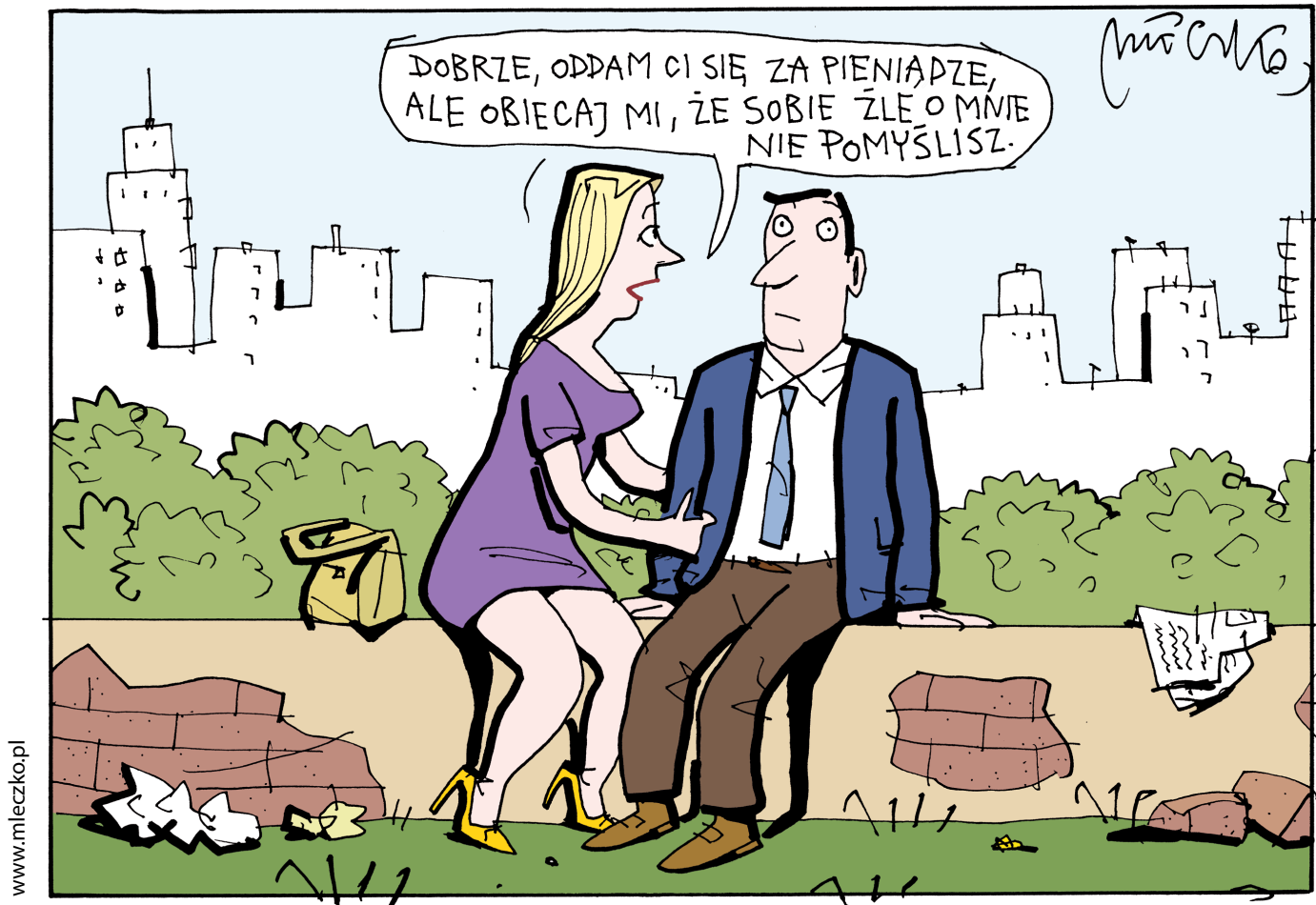
- 87 Andrzej Ficowski
Jak postawić dom na wodzie
- 90 Agnieszka Krzemińska
Historia ukryta pod ubraniem
- 94 Justyna Sobolewska
Ostatnia ucieczka Sławomira Mrożka

NA WŁASNE
OCZY

- 100 Michał Książek
DO POCZYTANIA W UPAŁY Ciężarówką przez krainę mrozów

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 64 Afisz • 93 Hartman
- 96 Passent • 97 Tym
- 98 Fusy, plusy i minusy
- 99 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje



sławomir mizerski z życia sfer

Polish tusk

Jest lato, słońce grzeje, w oddali melodyjnie skwierczy grill. W tej atmosferze pozornego spokoju nie sposób jednak nie zadać sobie pytania: czy Polska może zostać przez kogoś zaatakowana? Minister obrony Tomasz Siemoniak w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” przyznaje, że „może pojawić się ktoś, komu nie w smak pomyślność, stabilność i bezpieczeństwo Polski”. Na razie nie wiadomo, kto to jest i dlaczego nasza pomyślność, stabilność i bezpieczeństwo może być mu nie w smak. Minister zapewnia, że czarne scenariusze w tej sprawie już w MON powstają, podobnie zresztą, jak i koncepcje obronne przeciwko tym scenariuszom. „Nazwaliśmy je »Polskie kły«, co oznacza, że polska armia powinna dysponować potencjałem odstraszania, który atak na nas uczyni nieopłacalnym, ponieważ odwet będzie dotkliwy” – wyjaśnia minister.

Budowę i działanie kłów w sierpniu osobiście zaprezentował znany z twardego kła premier Tusk (tusk to po angielsku „kiel”, zbieżność nazw absolutnie nieprzypadkowa). Jest nadzieja, że nowa broń osadzona w zdrowej szczepie polskiej armii wystarczy do obrony naszej pomyślności, stabilności i bezpieczeństwa. Gdyby nie wystarczyła, zdaniem wojskowych strategów pozostaje nam jedynie modlitwa.

W przeszłości już nie raz przechylała ona szalę zwycięstwa na naszą stronę. Zdaniem abp. Hosera – znawcy cudownych broni i wszelkiego religijnego uzbrojenia – podczas Bitwy Warszawskiej 1920 r., w wyniku decydującej z militarnego punktu widzenia modlitwy, „w nocy z 14 na 15 sierpnia miał miejsce cud objawienia się Najświętszej Maryi Panny nad oddziałami Armii Czerwonej, wywołując popłoch w jej szeregach”.

Oczywiście cudowne objawienie się Matki Boskiej to broń ostateczna i nie można jej nadużywać. Zresztą na współczesnym polu walki może nie wystarczyć do obrony przed państwami dysponującymi rakietami balistycznymi czy bronią atomową. Dlatego szef MON zapewnia, że o skutecznej polityce obronnej gotów jest rozmawiać z każdym. Także z posłem Macierewiczem, którego siła rażenia nie podlega dyskusji, a potencjał odstraszania jest gigantyczny i wciąż nie do końca zbadany. Swoją deklaracją minister dał do zrozumienia, że sytuacja jest bardzo poważna i każdy komplet kłów się liczy. Nie wiemy, co prawda, w jakim stanie jest komplet posła Macierewicza, ale mamy nadzieję, że w momencie największego zagrożenia dla Polski poseł ten nie będzie musiał odsłaniać kłów, bo do wywołania w szeregach przeciwnika popłochu wystarczy samo jego cudowne objawienie się.

Czytaj także komentarz s. 6.

Coraz mniej generałów

Po raz pierwszy od wielu lat polska armia ma mniej niż stu generałów. Mimo że w zeszłym tygodniu przybyło czterech nowych. Z trzech pułkownikowskich gwiazdek na jedną generalską przeskoczyli Jerzy Gut, Adam Joks, Sławomir Kowalski i Piotr Dziegielewski. Po części był to gest symboliczny, bo każdy z nich pracował już na etacie generała, czyli pobierał taką pensję. Ale nie był to gest pusty, bo generalska gwiazdka to ukoronowanie wojskowej kariery. Przez ostatnie lata bardzo się ona zdewałowowała, bo były czasy, w których nominowano niemal hurtowo.

Aleksander Kwaśniewski na odchodnym mianował ponad 50 generałów. Lech Kaczyński jeszcze jako kandydat na prezydenta bardzo to krytykował. Po czym poszedł w jego ślady. Pierwsze nominacje generalskie podpisał niespełna dwa miesiące po objęciu urzędu. Zupełnie poza datą tradycyjnych awansów. Pierwszym generałem spod jego ręki był płk Roman Polko, były dowódca GROM i bliski współpracownik z czasów kampanii prezydenckiej. W sumie przez ponad cztery lata sprawowania urzędu prezydent Lech Kaczyński mianował 76 nowych generałów, chociaż w tym samym czasie liczebność armii dramatycznie

spadła. Nowe nominacje były o tyle uzasadnione, że na emeryturę wysłano nie mniej, niż mianowano. Prezydent Kaczyński nie ukrywał, że jego zamiarem jest wystąpienie na emeryturę generałów, którzy swoją edukację uzupełniali na uczelniach w Związku Radzieckim. I właściwie to osiągnął. Udało mu się nawet mianować na stopień generałski pierwszego oficera, który przyszedł do wojska po 1989 r. Piotr Błażewicz w dniu swojego awansu generalskiego miał zaledwie 38 lat. Obecnie od ponad miesiąca znaj-

duje się w rezerwie kadrowej ministra obrony narodowej i nie bardzo wiadomo, jakie mu powierzyć stanowisko.

Prezydent Bronisław Komorowski również krytykował nadprodukcję generałów. Trzeba przyznać, że w tej sprawie okazał się konsekwentny. W czwartym roku mianowań spod jego ręki tylko 28 pułkowników doczekało się generalskiego awansu. Skończył z absurdalnym i kosztownym zwyczajem dawania gwiazdki na pożegnanie oficerom, którzy i tak w krótkiej perspektywie mieli odejść na emeryturę. Nie nagiął również prawa, żeby stopień generalski dostał naczelny kapelan Wojska Polskiego. W efekcie trzeci rok z rzędu nominacje wrę-

czane są tylko raz w roku, w Dniu Wojska Polskiego 15 sierpnia. Obecnie na oficjalnej liście czynnych generałów w WP znajduje się 91 nazwisk. Jeszcze kilka lat temu było ich prawie 140. A to jeszcze nie koniec. W wyniku wprowadzanej właśnie reformy systemu dowodzenia generałów ma być nie więcej niż 80. Przekracza to jednak granice akceptacji oficerów, którzy coraz głośniej narzekają, że prezydent, nie dając awansów, po prostu ich krzywdzi.

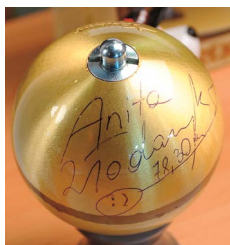
(JULI)



Generałowie podczas tegorocznego Święta Wojska Polskiego

Polska Jamajką młota?

Mistrzostwa świata w Moskwie to kolejna lekkoatletyczna impreza w ostatnich latach potwierdzająca, że polska specjalność to teraz rzuty, zwłaszcza młotem. Złoty medal Pawła Fajdka (młot) oraz srebrne Anity Włodarczyk (młot) i Piotra Małachowskiego (dysk) z grubsza oddają sytuację. Nieobecność w gronie medalistów Tomasza Majewskiego, dwukrotnego mistrza olimpijskiego w pchnięciu kulą, nie dziwi, bo dwie operacje łokcia wybiły go z rytmu przygotowań. 24-letni Paweł Fajdek potwierdził reputację następcy Szymona Ziółkowskiego, mistrza olimpijskiego i świata. Sportowa droga młodego mistrza świata znów dowodzi, że w polskiej lekkoatletyce szukanie oraz wychowywanie talentów to głównie partyzantka. Młot wziął do ręki zbiegiem okoliczności, na początku zresztą nie zdradzał jakichś wyjątkowych predyspozycji (jego obecny trener Czesław Cybulski, nestor rodzimych fachowców od młota, na pierwszy rzut oka stwierdził, że Fajdek się do tej konkurencji nie nadaje). W rodzinnym Żarowie uprawiał się w sztuce na łące obok boiska piłkarskiego (sprzęt lądował na drzewach oraz na kartoflanym polu), w ważnym momencie kariery odmówiono mu w klubie 200 zł miesięcznego stypendium. Następców mistrzów w pozostałych konkurencjach nie widać. Ich trenerzy mówią: spieszymy się cieszyć z medali, bo dalszy ciąg dobrej



© MICHAŁ WARGIN / EAST NEWS

passy jest wątpliwy. Trwające ponad dekadę polskie sukcesy w konkurencjach rzutowych nie wywołały u sportowych decydentów refleksji, że gdyby do potencjału zawodników i mądrości trenerów dodać jeszcze dotacje dla lokalnych klubów oraz godną infrastrukturę (ośrodek rzutów, który powstał przy warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego wstyd pokazywać), to tak jak Jamajka w sprintach, Polska mogłaby stać się światowym liderem w rzutach. Działające medale mają dwa źródła: małe kluby na prowincji (Włodarczyk sportowo wychowała się w Rawiczu, Majewski z Małachowskim w Ciechanowie, Fajdek w Żarowie) oraz trenerzy społecznicy, którzy talenty szlifowali z pasji do sportu, a nie dla zarobku. Dziś, gdy lokalne kluby padają jeden po drugim, a większość trenerów od rzutów przekroczyła już wiek emerytalny, trudno się dziwić, że przyszłość nie rysuje się różowo.

Nie wiadomo, czy te problemy poruszano na spotkaniu lekkoatletycznej reprezentacji z ministrem sportu Joanną Muchą, do jakiego doszło podczas moskiewskich mistrzostw. Film zamieszczony przez Polski Związek Lekkoatletyki na portalu YouTube zmontowano z uścisłów dłoni, wręczania okolicznościowych dyplomów oraz okrągłych słów. Kończy się w momencie, gdy pani minister wzywa zawodników, by podzielili się swoimi sportowymi bólami. Jest nadzieja, że się podzielili. Choć realizm podpowiada, że i tak nic z tego nie wyniknie.

MARCIN PIĄTEK

Szczербaty szczerzy kły



Juliusz Cwieliuch

komentarz

Zeszły tydzień upłynął pod znakiem wojska. Taki przywilej jubilat. 15 sierpnia żołnierze obchodzili Święto Wojska Polskiego. Szalona to była impreza i pełna suspensów. W wigilię święta minister Tomasz Siemoniak udzielił wywiadu „Gazecie Wyborczej”. Może niektórym jego słowa kojarzyły się momentami z „Przeglądem Stomatologicznym”, ale koncepcja „Polskich kłów” to jednak przejaw zdrowego rozsądku. Sami tej wojny (ewentualnej) nie wygramy – mówił minister. Trudno też liczyć tylko na sojusze. Stawiamy więc na staropolskie „umiesz liczyć, licz na siebie” i budujemy całkiem pokaźny potencjał odstraszący: nowe rakiety, nowe okręty i prawie nowe czołgi. Zagryźć nie zagryziemy, ale przeciwnika na pewno zaboli. I to ma sens, bo jest to koncepcja na miarę naszych możliwości.

Przy okazji minister przeszedł do czynów i po cichu wbił kiel w naszych wschodnich sąsiadów, informując, że Amerykanie zgodzili się nam sprzedać rakiety manewrujące (zasięg do 370 km) do naszych F-16. Tylko czekać, kiedy Rosjanie w ramach ocieplania kontaktów zapowiedzą wystawienie kolejnych rakiet wycelowanych w Polskę. Tylko tym razem już nie w okręgu kaliningradzkim, bo tam będziemy mieli ich czym trafić. I tak się właśnie zbija argumenty tych, którzy twierdzą, że przecież nic nam nie grozi.

Ala jak to z dobrymi wiadomościami bywa, są i złe: wielkich zębów od razu sobie nie wstawimy, bo w dobie kryzysu wojsko musi się dorzucić do kryzysowych oszczędności. Prezydent zapowiedział, że w tym roku nie obroni wojska przed ministrem finansów. 13 mld zł trzeba będzie oddać. Wojsko ma już wprawę w oddawaniu pieniędzy. Rok w rok oddaje do budżetu miliard i więcej. I to w dużej części ze swojej winy. Wojskowi co roku w grudniu orientują się, że znów nie udało się wszystkiego wydać. Co zresztą nie zawsze jest złą wiadomością, bo wojsko budżetowym pieniądzem rządzi się czasem w sposób mało zrozumiały. Jeśli Bronisław

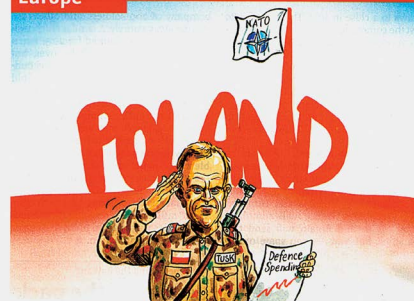
Jan Koza



© JAN KOZA

Europe

The Economist August 17th 2013 21

East European defence
Flexing its muscles

As the only big country in Europe that is increasing defence spending, Poland wants more say in NATO

On a bluff close to the River Vistula in Warsaw stands Poland's military museum, 70 helicopters, unmanned aerial vehicles and better equipment for ground

Also in this section

- 22 German child care
- 22 Montenegro and the Balkans
- 23 Spain and ETA
- 24 Swedish politics
- 24 Islam in Denmark
- Charlemagne is on holiday

For daily analysis and debate on Europe, visit
Economist.com/europe

ghanistan, where almost 40 Polish soldiers have died. Increasingly Poland seeks influence within NATO that reflects its size and new prosperity. Having modern armed forces that can be sent into action when a crisis hits gets you a place at the decision-making table, especially when other countries are slashing defence budgets. Perhaps because of history, but certainly because of geography, Poles fret about the "double whammy" of declining military commitment from NATO's European

Komorowski czymś naprawdę zmartwił żołnierzy, to wiadomością o unikaniu misji zagranicznych. Przez ostatnie 10 lat wojskowi przyzwyczaili się, że przynajmniej raz w życiu przez te sześć miesięcy misji mogą mieć pensję jak dyrektor banku. Raczej spółdzielczego, ale zawsze banku. A przecież apetyt rośnie w miarę jedzenia. Będzie jeszcze z tym ucięciem misji sporo problemów. Ale tym pewnie będziemy się martwić później.

Na otarcie łez dzień po smutnych wiadomościach do dialogu włączył się premier Tusk. No i dosypał trochę cukru do tej gorzkiej herbaty. Kupujemy śmigłowce, nie ruszamy programów modernizacyjnych. Napięte muskuły polskiego rządu zauważono nawet za granicą.

Wpływow „The Economist” donosi nie tylko o polskich planach zakupów, ale również mobilizowaniu NATO do działania. Co prawda długo to trwało, ale po niemal czterech latach Sojusz odpowie na rosyjsko-białoruskie ćwiczenia Zapad i Ładoga, symulujące atak na Polskę i kraje nadbałtyckie. Sojusznicy właściwie ograniczają się do wysłania rozbudowanych pocztów sztandarowych, bo każdemu szkoda pieniędzy na ćwiczenia. Ale liczy się gest. A ćwiczenia to my sobie sami zrobimy, bo w listopadowych wielkich manewrach licznie będą dominować żołnierze z Polski. I te cztery lata zwłoki też powinny dać do myślenia każdemu, kto uważa, że wystarczy jak pies szczeka. I zęby mu nie potrzebne.

Moda na referenda

Jak wynika z danych Państwowej Komisji Wyborczej, w tym roku odbędzie się jeszcze co najmniej 10 referendów w sprawie odwołania władz lokalnych. Na 25 sierpnia wyznaczono referendum w sprawie odwołania wójta i rady gminy Nidzica w woj. warmińsko-mazurskim. 8 września odbędzie się referendum gminne w sprawie odwołania rady miejskiej i burmistrza w Nowym Stawie (woj. pomorskie) oraz głosowanie nad odwołaniem burmistrza Gryfic (zachodniopomorskie). Tydzień później będą referenda dotyczące odwołania prezydenta Piotrkowa Trybunalskiego, burmistrza i rady gminy Radymno (tym od rekonstrukcji rzezi

wołyńskiej) oraz burmistrza Gostynina (woj. mazowieckie). Na 22 września zaplanowane są głosowania nad odwołaniem wójta gminy Janowiec (woj. lubelskie), wójta gminy Rytko (w woj. małopolskim) oraz wójta gminy Obrazów (woj. świętokrzyskie). W Olsztynie także chcą odwołania prezydenta i rady miasta, trwa liczenie głosów w sprawie przeprowadzenia referendum. Rekordzistą pod względem referendów jest województwo śląskie, gdzie od 2011 r. odbyło się ich 13. Zgodnie z ustawą o referendach lokalnych koszty pokrywa się z budżetu jednostki samorządu terytorialnego, której dotyczy referendum.

(M.Z.)

Mrozek by tego nie wymyślił

Ledwo zelżały upały, zaczęły się polityczne popisy, na które, przyjmując tłumaczenie dla ich autorów najbardziej delikatne, gorące dni miały niewątpliwie wpływ zasadniczy. Np. poseł (europejski zresztą) Ryszard Czarnecki nadzwyczaj dzielnie trwa na sejmowym polskim posterunku, by nie ominęła go żadna kamera ani żaden mikrofon. Rzucił pomysł, aby państwo zatroszczyło się o tych, którzy brali kredyty we frankach, dlatego że wtedy bardziej się to opłacało, a teraz już się nie opłaca. Czy w ramach troski mamy się wszyscy zrzucić na spłatę wyższych rat? Tego europoseł nie wyjaśnił, ale wskazał jako nauczyciela Victora Orbána, który dla PiS jest autorytetem największym. Może nawet większym niż prezes Jarosław Kaczyński. Inny europejski poseł – Marek Migalski (PUN) – zaproponował, żeby zlikwidować prawa jazdy, ograniczenia prędkości na drogach i obowiązek jeżdżenia w pasach. Polak ma być człowiekiem w pełni wolnym, a początek tej wolności ma nastąpić na polskich drogach. Ma mieć więc wolny Polak prawo do zabijania siebie i swoich współobywateli, kiedy tylko zechce. Wybory do Parlamentu Europejskiego są pierwsze w całej turze kolejnych wyborczych zmagani, więc jakoś staram się zrozumieć eurodeputowanych, zwłaszcza tych, których mandaty są zagrożone. Chcą zabłysnąć, może zaszokować, w każdym razie utrwalić się w pamięci współobywateli. Czekamy na dalsze propozycje.

Potem zajął nas „pisior” ministra Bartłomieja Sienkiewicza. Pisior, czyli dyrektor gabinetu politycznego o nazwisku Paweł Majcher, trafił jako pierwsza wiadomość na czołówki najpoważniejszych programów informacyjnych na dni kilka. Wielu bardzo ważnym politykom taki honor się nie przydarzył. Pisior też łączył się z wyborami, tyle że wewnętrznymi, w Platformie Obywatelskiej i był postrzegany jako intryga Grzegorza Schetyny, której celem było skompromitowanie Tuska, o czym zawsze miło pogawędzić. To Schetyna miał podpuścić jakiegoś członka PO z Dolnego Śląska (który przy tej jednej okazji dał się poznać szerszej publiczności i udzielił nawet kilku wywiadów), aby zapytał Tuska, dlaczego pisiorzy są w rządzie? W rządzie powinni być przecież sami swoi. Rzecz została nagrana, a potem, jak to z nagraniami bywa, przekazana do mediów. Usłyszeliśmy, jak premier niezbyt ostrożnie powiedział, że pewnie długo pisior w rządowych okolicach nie pobędzie, choć powinien znać ministra i wiedzieć, że w takich sprawach łatwo nie ulega. Do dziś zresztą nie do końca wiadomo, czy przetrzymywanie pisiorów jest dobre czy złe i czy pan Majcher rzeczywiście jest pisiosem.

Mieliśmy też święto. Ważne, wojskowe, upamiętniające rocznicę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej z 1920 r. Ale znów nie bardzo wiadomo, co właściwie upamiętniamy. Tak się bowiem stało, że w Ossowie, miejscu dla tego zwycięstwa symbolicznym, wystają nowe symbole, uroczyste odsłanianie są nowe popiersia. Tym razem są to symbole katastrofy smoleńskiej i jej ofiar. Początkowo była to inicjatywa lokalna, wołomińska, ale teraz stała się jakby ogólnopolska, na dodatek objęta patronatem PiS oraz samego abp. Hoserę, który rozprawiając się z księdzem Lemańskim, ma więcej czasu na oddawanie się zajęciom patriotycznym. Trudno jednak nie dostrzec wpędzającego w konfuzję pomieszania materii. Oto bowiem jeden z najbardziej precyzyjnych manewrów wojskowych, którego ważną częścią była obrona Warszawy i który pozwolił zatrzymać bolszewicką nawałnicę, upamiętniany jest obok najwęższej katastrofy lotniczej, będącej wynikiem bylejakości, nieprzestrzegania procedur i serii błędów. Dotychczas katastrofę smoleńską wiązano pośpiesznie i nachalnie dla politycznej potrzeby z Katyniem, co już było mocno



nieprzyzwoite. Teraz wiąże się ją z Bitwą Warszawską. Trzy w jednym? Co zrobią w przyszłości dzielni rekonstruktorzy? Odtwarzać będą bitwę czy katastrofę?

Czy skutki upałów wymieniać dalej? Oto np. ojciec Tadeusz Rydzki chce obdzielać ludność naszego kraju mediami wedle polskości zaświadczonej katolicyzmem, co w praktyce oznacza, że wszystkie media mają być czysto polskie i katolickie, bo przecież ponad 90 proc. Polaków przyznaje się do katolicyzmu. A może przypomnieć obrazy z podwarszawskich Łomianek, których mieszkańcy, niestety posiadacze czwartoligowej drużyny piłkarskiej, w pośpiechu chowali kosztowności i zabijali okna styropianem, spodziewając się najazdu kibiców stołecznej Polonii oraz Legii? Okazało się zresztą, że zrobili słusznie. Manewry policyjnych oddziałów prewencji wokół skrawka murawy w Łomiankach były rzeczywiście imponujące i sprawiły, że inni piłkarzy czwartoligowcy, do których zawitać mają dawne gwiazdy ekstraklasy, bliskie są decyzji o oddawaniu meczów walkowerem. Mrozek by tego nie wymyślił – zwykliśmy mówić, kiedy otaczającą nas rzeczywistość spowijały opary absurdu. Ale czas mistrzów minął, odchodzi także pokolenie ich uczniów. Zwycięża prostota walenia na odlew.

PS Żegnamy Sławomira Mroźka, ale niekoniecznie musimy żegnać się z jego dziełem, zwłaszcza z tym, które jeszcze żyje. A żyje w Teatrze Narodowym wielki spektakl dwóch mistrzów – Sławomira Mroźka i zmarłego w roku ubiegłym wybitnego reżysera Jerzego Jarockiego. Żyje „Miłość na Krymie”, najbardziej epicki z dramatów Mroźka. Warto by było przenieść przedstawienie do telewizji, by utrwalić dla przyszłości tę część narodowego dziedzictwa. Byłby to rodzaj klamry spinającej życiorysy dwóch wybitnych twórców. Minister kultury Bogdan Zdrojewski, prezes telewizji publicznej Juliusz Braun oraz dyrektor teatru Jan Englert złożyliby w ten sposób największy hołd tym, którzy przez dziesięciolecia kształtowali naszą wyobraźnię, wrażliwość kulturalną, a także dystans do otaczającej nas rzeczywistości. Taką pamięć jesteśmy im winni.

O Sławomirze Mroźku – s. 94.

Nowe legitymacje CBA

Zdjęcie z neutralnym wyrazem twarzy, otwartymi oczami i zamkniętymi ustami, zakaz wypuszczania z rąk legitymacji służbowej w czasie legitymowania się nią, obowiązek zwrócenia jej do jednostki na czas urlopu rodzicielskiego i odpowiedzialność dyscyplinarna za naruszenie zasad posługiwania się legitymacją – przewiduje projekt rozporządzenia premiera dotyczącego legitymacji agentów Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Ponadto określono nowy wzór dokumentu tożsamości agenta CBA, który będzie obowiązywał od początku przyszłego do końca 2016 r. Poza kosmetyczną zmianą kolorystyki w 786 legitymacjach nic się nie zmieni. Stare

dokumenty wrócą do szefa CBA, który je unieważni. „Zastosowanie takiego rozwiązania ma na celu zmniejszenie ryzyka podrobienia lub przerobienia tego dokumentu” – czytamy w uzasadnieniu projektu rozporządzenia.

Jesienią 2008 r. policja zatrzymała członków gangu pruszkowskiego i odkryła, że kilku z nich było posiadaczami podrobionych legitymacji Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Cała operacja wymiany starych na nowe będzie kosztowała 150 tys. zł z budżetu CBA. Jeśli kogoś nawiedzą osoby podające się za funkcjonariuszy CBA, zawsze może zweryfikować je, dzwoniąc do CBA.

(Dąb.)



© COLOUR PRESS/FORUM

Myto wyborcze

Bawarska Unia Chrześcijańsko-Społeczna (CSU) grozi Angeli Merkel zerwaniem koalicji, jeśli niemiecki rząd nie wprowadzi opłat za autostrady. Obowiązywałyby wszystkich kierowców, ale Niemcy otrzymywaliby zwrot kosztów, co oznacza, że myto ostatecznie płaciliby wyłącznie obcokrajowcy. Nawet mimo kryzysu wiele krajów w Europie wciąż nie każe płacić za autostrady, za darmo można sunąć najlepszymi drogami Belgii, Wielkiej Brytanii, Holandii, Finlandii i republik bałtyckich. Tam gdzie płacić trzeba, obowiązują albo abonamenty czasowe, jak np. w Austrii (80,6 euro rocznie), albo – jak w Polsce – na kierowców czekają przydrożne bramki. Ceny przebytych kilometrów są różne i miewają niewiele wspólnego z kondycją narodowych gospodarek. Bo o ile przejazd płatnym fragmentem polskiej autostrady A2 kosztuje niecałe 5 eurocentów za km, to podróż hiszpańską A2 łączącą Barcelonę z Saragossą kosztuje ok. 9 centów. Tymczasem ledwie 2 centy płacą kierowcy podróżujący A2 grecką, która biegnie od Morza Śródziemnego do granicy z Turcją. Kanclerz Merkel nie komentuje propozycji koalicjanta, ale szanse na wprowadzenie myta w Niemczech są niewielkie. Obciążenie wyłącznie cudzoziemskich kierowców byłoby niezgodne z unijnymi przepisami. Niewykluczone także, że koszty stworzenia systemu kontroli przewyższyłyby wpływy z opłat.

W Egipcie już stawiają gilotyny



Łukasz Wójcik

Wostatnim tygodniu w Egipcie zginęło ponad 700 osób, 4 tys. zostało rannych, po tym jak armia zlikwidowała obozy zwolenników obalonego na początku lipca prezydenta Mohammada Mursiego. Jak przekonywał później szef sztabu i faktyczny dyktator Egiptu gen. Abdel Fatah al-Sisi, wojsko jeszcze raz wystąpiło w obronie „demokracji” przed „terrorystami”, którzy chcieli ją wykorzystać i zniszczyć. Egipskich generałów wspierają Amerykanie. Barack Obama, odnosząc się do obalenia Mursiego, konsekwentnie używa określenia „wojskowa

interwencja”. Rozstrzygnął już sprawę zasadności tej „interwencji”, mówiąc: „Wiemy, że wielu Egipcjan, miliony Egipcjan, może nawet większość Egipcjan domagało się tej zmiany”. Wszystko jest więc w porządku – wszak „demokratyczne” rządy generałów poparła „większość” Egipcjan.

Sądząc po ewolucji znaczenia powyższych, zaznaczonych cudzysłowami słów, rewolucja w Egipcie wchodzi w etap Wielkiego Terroru. Karierę robi słowo „terrorysta”, które oznacza już każdego, kto sprzeciwia się władzy. A wiadomo, że jeśli ci, którzy popierają władzę, są dziś „większością”, bez względu na to, ilu ich jest. I nie ma znaczenia, że większość wybrała Mursiego na prezydenta. Teraz ta większość to przecież „terroryści”. W tym kontekście błędą sztuczki słowne amerykańskiego prezydenta. W Egipcie doszło do siłowego przejęcia władzy, czyli – według słownika języka polskiego PWN – zamachu stanu. Gdyby jednak Obama publicznie użył tego

Szwajcarzy piszą hymn



© CORBIS

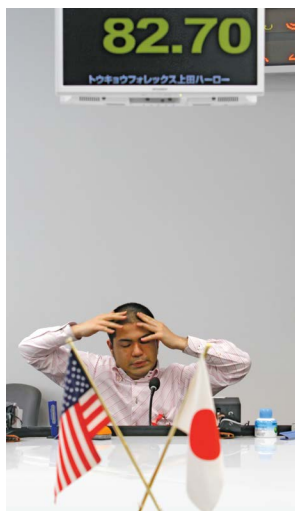
Konkurs ogłosiło prestiżowe Stowarzyszenie na rzecz Dobra Publicznego (SGG), a za piórą mogą chwycić wszyscy Szwajcarzy (oraz cudzoziemcy rezydujący w Szwajcarii). I napisać rzecz w każdym z czterech oficjalnych języków. Nowy hymn ma zastąpić dotychczasowy Psalm Szwajcarów. Zaczyna się od słów: „Kiedy poranne niebo promienieje/Ty, Panie, jesteś na nim w jasności/Kiedy Alpy promienieją chwałą/Módlcie się Szwajcarzy, módlcie się”, i jest w istocie renesansową pieśnią religijną. Obowiązuje ledwie od 1961 r., wcześniej używano utworu „Kiedy mnie wzywał Ojczyzno”, na melodię „God Save the Queen”, co wprowadzało w konsternację, np. na zawodach sportowych. Teraz wzięte będą pod uwagę wszystkie nadesłane utwory, które „nie będą rasistowskie, seksistowskie ani zbyt nacjonalistyczne”, jak ogłoszono. Choć „premiowane będą odniesienia do wartości konstytucyjnych: wolności, demokracji i otwartości”. Główna nagroda, prócz prestiżu – 10 tys. franków.

określenia, Ameryka musiałaby wstrzymać wszelką pomoc dla Egiptu, który ma dla USA ogromne znaczenie strategiczne.

Najbardziej pokiereszowane w Egipcie słowo to jednak „demokracja”. I nie chodzi tu już o gen. al-Sisiego, który broni „demokracji” przed demokratycznie wybranym prezydentem. Słowo to w obroty wzięło wielu europejskich publicystów, którzy twierdzą, że Egipcjanie nie dorosli jeszcze do „demokracji”. Tylko że demokracji nie można nauczyć się teoretycznie. Wszystkie grzechy, które popełnił prezydent Mursi, Egipcjanie przerobią raz jeszcze, gdy w końcu armia odda władzę. Proces nauki zaczyna się od nowa, ale ponad 700 z reguły bezbronnym „terrorystów” życia nie odzyska. Czerwona lampka powinna zapalić się wszystkim, gdy przed zeszytologodniową masakra gen. al-Sisi powiedział w wywiadzie dla „Washington Post”, że on tylko służy „prawdzie”. W Egipcie właśnie stawiają gilotyny, jak kiedyś we Francji.

1 000 000 000 000 000

Tyle jenów wart był dług publiczny Japonii już kilka tygodni temu, dziś jest wyższy – wynika z opublikowanych właśnie w Tokio danych. 1 i 15 zer to (po polsku) biliard – nazwa dotychczas rzadko używana, ale w kryzysie liczby szybko się dewaluują. W tej dyscyplinie Japonia jest światowym rekordzistą i wyprzedza nawet Zimbabwe. Japoński dług publiczny dawno już przekroczył wartość 200 proc. PKB, czyli na jego spłatę trzeba by przeznaczyć równowartość wszystkich towarów i usług powstałych w Japonii przez dwa lata. Brzmi strasznie, ale np. słynny globalny dłużnik, Ameryka, choć ma dług na poziomie zaledwie 74 proc. PKB, to jego wartość przekroczyła już 16 bln



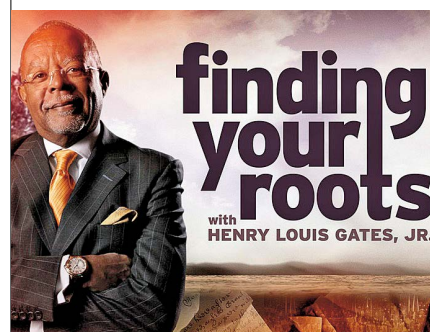
dol. (w przeliczeniu na jeny to 1,5 biliarda). Większość amerykańskich wierzycieli jest jednak za granicą, co może być niebezpieczne

w przypadku wahań cen walut. Natomiast Japonia zadłużyła się niemal wyłącznie wśród wierzycieli krajowych, więc nie ma się czego obawiać. Teoretycznie racja, ale nikt tej teorii nie sprawdzał przy zadłużeniu powyżej 200 proc. PKB.

Świeży wzrost japońskiego zadłużenia wiąże się z polityką gospodarczą premiera Shinzo Abe. Nominowany przez niego szef banku centralnego Haruhiko Kuroda na potęgę skupuje japońskie obligacje i w ten sposób pompuje nowe jeny na rynek. Wywołana w efekcie inflacja ma, według rządzących, pobudzić japońską gospodarkę, która stoi w miejscu od początku lat 90. Są już pewne symptomy ożywienia, ale przy obecnym tempie inflacji Japończycy powinni się już uczyć nowej liczby: następny w kolejce jest trylion, czyli 1 i 18 zer.

Odkopywanie korzeni

W Ameryce, gdzie każdy jest „skądś”, wśród tych, którzy takiej wiedzy nie mają, rośnie moda na odszukiwanie afrykańskich korzeni powyrywanych przez proceder niewolnictwa. Przypomina to operację potwierdzania ojcostwa: wysyła się w kopercie próbkę DNA i w zależności od stawki



– od 100 nawet do 900 dol. – otrzymuje mniej lub bardziej precyzyjną wiedzę: lokalizującą przodków w Afryce i określającą czasami mocno skomplikowane dzieje i wędrówki genów. Rozwój banków DNA wyznacza tu szybki postęp. Cieszący się dużą popularnością serial „Finding Your Roots” w publicznej telewizji PBT, szukający korzeni celebrytom, ustalił na przykład, że aktorka Whoopie Goldberg ma przodków w Gwinei-Bissau, reżyser Spike Lee w Kamerunie, a Oprah Winfrey w Liberii. Następnym krokiem do sentymentalnej wycieczki do Afryki, tropami przeszłości – Black Heritage Tours. Stowarzyszenie Ancestry.com, wyspecjalizowane w genealogicznych kwerendach, ustaliło m.in. (i podajemy to na jego odpowiedzialność), że wśród przodków Michelle Obamy po linii matki był ktoś narodzony ze związku czarnej niewolnicy z białym właścicielem. Zaś Barack Obama po ojcu, wiadomo, Kenijczyk, wśród przodków matki Stanley Anne Dunham ma potomka Johna Puncha, zbuntowanego niewolnika żyjącego w Wirginii w XVII w. A więc to z jej, białej, strony odziedziczył niewolnicze korzenie.



© REUTERS/FORUM (2)

Zwiedź celę państwa Ceașescu

Na ponawiane gorące życzenie szerokiej publiczności udostępnione zostaną dawne koszary wojskowe w Targoviste, gdzie w grudniu 1989 r. stanęli przed nadzwyczajnym trybunałem wojskowym i zostali straceni Nicolae i Elena Ceașescu. Rządzący Rumunią od 1965 r. Conducator i jego żona uciekli helikopterem z ogarniętego manifestacjami Bukaresztu, gdy grunt zaczął im się palić pod nogami. Teraz można będzie zobaczyć celę, w której spędzili ostatnie godziny, **salę obrad trybunału** i ścianę, pod którą wykonano wyrok przez rozstrzelanie, „aż do całkowitego opróżnienia magazynków”, jak brzmiał rozkaz.

Małżonkowie spoczęli anonimowo na stołecznym cmentarzu Gencea, później na obu grobach pojawiły się skromne tabliczki. Krążyły plotki, że mogiły są puste. Córką Zoe od lat domagała się ekshumacji rodziców, pozytywnego wyroku sądu w 2010 r., po apelacji, już nie doczekała. Badania szczątków potwierdziły tożsamość prezydenckiej pary, a przybrany syn Valentin skorzystał z okazji i pochował rodziców razem, z honorami, w marmurowym grobie.

Bóle fantomowe

Kresy to nadal rezerwuar naszych pięknych mitów. Także tego o polskich panach i litewskich czy ruskich chamach.

JĘDRZEJ WINIECKI



© FOKA/FORUM

Transparent „Litewski chamie, klękni przed polskim panem” na stadionie Lecha Poznań nie wziął się znikąd. 1 sierpnia kibice Lecha pojechali na spotkanie z Żalgirisem Wilno, przez gości z Poznania konsekwentnie nazywanym Grunwaldem. Maszerując na stadion, Wielkopolanie zawędrowali pod Ostrą Bramę, gdzie odśpiewali Mazurka Dąbrowskiego, wykrzykali „Polskie Wilno” oraz „To miasto do nas należy”. Podczas meczu ponownie zaśpiewali Mazurka, w odpowiedzi kibice gospodarzy wzniesli okrzyki „Polska k...wa”, dwa samochody poznania-ków zostały porysowane i przedziurawiono w nich opony.

W sumie wyjazd do Wilna okazał się bardzo spokojny, obawiano się przecież, że będzie jak latem 2007 r., gdy w stolicy Litwy gościła Legia Warszawa. Sześć lat temu dwumecz z tamtejszą Vėtra zakończył się po 45 minutach, bo kibice Legii, sfrustrowani fatalną formą piłkarzy przegrywających już dwoma bramkami, wybiegli na murawę i brutalnie starli się z policją.

Rachunek krzywd

Na meczu rewanżowym w Poznaniu, obok słynnego już transparentu, na trybunach pojawiła się także grupa na co dzień wspierająca polską Polskę Wilno. Klub powstał ponad 20 lat temu,

ale dopiero teraz doczekał się prężnych kibiców, którzy podczas meczów w drugiej lidze litewskiej śpiewają Mazurka, wieszają biało-czerwone transparenty i sięgają po patriotyczną symbolikę polską. To m.in. ta grupa rozlepiła na wileńskich ulicach naklejki z kotwicą Polski Walczącej i maluje graffiti „Polskie Wilno”.

Kibice drużyn z Polski – przez polonistów zwanych Koroniarzami lub kolegami z Korony – często wypuszczają się na Litwę (jeżdżą też do Lwowa, gdzie wystawiają wieniec w klubowych barwach na cmentarzu Łyczakowskim i kwaterach Orląt Lwowskich). Tego lata fani Wisły Kraków, którzy wzięli udział w piłkar-



© REPR. MAREK SKORUPSKI/FORUM



© FOKA/FORUM

Od lewej: Karol Belima Brzozowski, szlachcic podolski. Mapa Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego z 1753 r. Szlachta w kontuszach, Lwów, początek XX w.

skim turnieju kibiców na Wileńszczyźnie, także pokazali się na wileńskim Starym Mieście: przy kościele św. Teresy odpalili kilkanaście rac, rozwinęli transparent „Biała Gwiazda w Ostrej Bramie, Kraków Wilno – więź i pamięć”, była też Rota i obowiązkowy Mazurek.

Na Wileńszczyźnie kibice z Korony słuchają o fatalnym położeniu polskiej mniejszości i dlatego swoje wyjazdy uważają niemal za odsiecz dla Polaków uciskanych przez Litwinów. Wpisuje się to doskonale w etos tzw. kultury kibicowskiej, w której śledzenie wydarzeń sportowych jest równie ważne jak radykalna obrona przed jakimkolwiek wrogiem dowolnych ideałów, z honorem i ojczyzną

włącznie. Stąd był tylko krok do rozkazu skierowanego do „litewskiego chama”.

– *Dziki manifestacje nienawiści i złego wychowania, które nic nie mają wspólnego ze sportem, zdarzają się wszędzie, ale ten transparent to przede wszystkim skutek polskiej omyłki w sprawie Kresów* – uważa historyk prof. Daniel Beauvois, Francuz od dziesięcioleci badający kresowe stosunki społeczne i laureat Nagrody Historycznej POLITYKI. – *Po 1989 r. polskie wyobrażenie o Kresach nabrało wręcz cech rewindykacji, a ogromna liczba książek i popularnych publikacji zdefiniowała wizję Polaków, utrwaliła wzięte od Sienkiewicza poczucie wyższości nad Litwinami, Białorusinami i Ukrainca-*

mi oraz mickiewiczowską sielankowość. Pora energicznie skończyć z tą anielskością i umacnianiem przestarzałych postaw.

Faktycznie, w III RP nie zdołaliśmy jeszcze przepracować polskiej obecności na Wschodzie. Ze zrozumiałych względów takiej debaty nie można było odbyć wcześniej w PRL. Drugą, prawdopodobnie większą przeszkodą przed ewentualnym rozdrapaniem czegokolwiek jest tragedia polskiej społeczności kresowej, którą w pierwszej połowie XX w. wyjątkowo brutalnie dotknęły trzy wojny, rewolucja bolszewicka, wielokrotne zmiany granic, wywózki, zesłania, przesiedlenia, łagry, rzezie, masowe egzekucje, przepadek majątków, kultury i koniec harmonii budowanej od wielu pokoleń – ta lista jest długa. Pamiętając o niej, łatwo dojść do przekonania, że gdyby spisać rachunek krzywd, idąca w miliony polska ofiara przeciwważyła te poniesione przez innych na dawnym wschodzie Rzeczypospolitej. Poczucie straty, niesprawiedliwości i tęsknoty biorą górę, stąd nie wypada np. otwarcie przyznawać, że przeniesienie Polaków nad brzeg Odry mogło być czymś korzystnym.

Ale swoboda, z jaką paternalistyczne myślenie o Kresach wciąż karmi narodową megalomanię, wskazuje, że ta nieodbyta debata jest pilnie potrzebna. Odchodzą wszak ci, którzy tam dorastali i zapamiętali coś więcej niż zapach poziomek i z pierwszej ręki mogliby dać świadectwo o krainie, która została utrwalona jako wielokulturowa arkadia i matecznik artystów, wodzów i pole historycznych sukcesów.

W tej pustce „polscy panowie”, przystrojeni w różne barwy klubowe i polityczne, wytrwale pielęgnują stare mity, zwłaszcza że sprawiedliwość dziejowa znów jest po naszej stronie, Polska znów jest największym krajem regionu i – co przyznają m.in. politycy litewscy – liderem regionu we wszystkich dziedzinach. Powróciliśmy na Zachód, jesteśmy w Unii, klubie, który decyduje o przyszłości kontynentu, gdzie liczą ▶

► się z nami silniejsi od nas. A na Wschodzie po staremu: Białoruś umacnia swój stereotyp czarnego luda. Ukraina pograża się w systemie oligarchicznym i wróciła do roli rezerwuaru taniej siły roboczej, a między polskimi pracodawcami a np. ukraińskimi sprzątaczkami i opiekunkami wytworzył się naturalny stosunek poddaństwa, w którym ponownie Ukraińcom przypada rola sług, dodatkowo upokarzanych w kolejkach pod konsulatami.

Za starymi, dobrymi czasami zatęsknili także politycy. Za prezydentury Lecha Kaczyńskiego do głównego nurtu polskiej polityki zagranicznej przebiły się dobrze znane romantyczne motywy: polityka jagiellońska i Międzyrzecze. Co prawda kulminacją polskich starań był wspólny lot kilku prezydentów do Tbilisi podczas najazdu Rosji na Gruzję, jednak projekt z różnych powodów nie wyszedł poza swoją symbolikę i w ślad za nim nie powstały ani nowe drogi, ani połączenia energetyczne, tak bardzo w regionie potrzebne. Idee te miały – nie tylko dla prawicowych radykałów – siłę terapeutycznego i symbolicznego odzyskania dawnego dziedzictwa. Ale państwa, które „pod polskim przewodem” miały stawiać opór Rosji, nie bardzo były pomysłami zainteresowane.

– Na Litwie idee Jana Nowaka-Jeziorańskiego i Jerzego Giedroycia są coraz mniej żywe, odchodzi pokolenie, które razem z Solidarnością tworzyło założeń polityki zagranicznej – mówi prof. Andrzej Pukszo, politolog z Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie. – Znamienne, że konserwatywny szef MSZ w rocznicę 20-lecia odnowienia stosunków z Polską ogłosił artykuł „Obudzenie Baltoskandii”, w którym dowodził, że Litwa powinna związać się z państwami bałtyckimi i skandynawskimi. Obecny szef dyplomacji z ramienia Partii Socjaldemokratycznej szczerze zmierza do zbliżenia z Polską, jest tu jednak samotnym żołnierzem.

Sąsiedzi nieznani

Również obecny rząd w Warszawie nie stroni od demonstrowania wyższości wobec słabszych sąsiadów. Minister Radosław Sikorski wyraził w zeszłym roku w Sejmie nadzieję, że Litwini odsuną od władzy konserwatystów, którzy dyskryminowali polską mniejszość na Litwie (konserwatyści Andriusa Kubiliusa rzeczywiście wybory przegrali), podobnie Donald Tusk, przemawiając w kościele ostrobramskim, złożył Wilniukom obietnicę, że Polska ich nie zostawi i w tym celu będzie wywierać presję na litewski rząd. Nietrudno się domyślić, jak w politycznym Wilnie przyjęto obie deklaracje.

Ten brak wyczucia zamyka się w stereotypie, że o ile z trójki nowych państw

z krótką historią Litwini jeszcze dobrze rokują (są przecież z nami w Unii), to Ukraińcy, a zwłaszcza Białorusini, pozbawieni swoich Mendogów i Chmielnickich, sprawiają wrażenie narodu tkwiącego jeszcze w stanie dziecięcym, niedorostłym do społeczeństwa obywateli i wykształcenia własnych odpowiedzialnych liderów, potrzebującym przewodnika, który wskaże drogę.

– To absurdalne przekonanie bierze początek w mentalności polskiego ziemianstwa; podobny kolonialny odruch pogardy mieli francuscy i amerykańscy plantatorzy, właściciele niewolników – mówi prof. Daniel Beauvois. – Polskie ziemianstwo ma na sumieniu ciężkie grzechy w nieludzkim traktowaniu swoich chłopów. Jeśli zastanawiamy się, skąd się wzięła rzeź wołyńska, to przecież nie tylko z polityki II RP, ale z wieków ucisku i poddaństwa, które dziś rzutują na ukraińskie

Większość osób
czujących się polskimi
panami nie ma nic
wspólnego ze szlachtą,
same są pochodzenia
chamskiego.

frustracje. Z podobną sytuacją mamy do czynienia na Litwie i na Białorusi.

Polacy lubią myśleć, że skoro z obecnymi wschodnimi sąsiadami przez wieki żyli wspólnie, to znają ich na wylot. Tę opinię zweryfikował Instytut Spraw Publicznych, który niedawno wziął na warsztat wzajemne postrzeganie się Polaków i Litwinów. Wnioski opatrzył tytułem „Obok siebie” i nie jest to wybór przypadkowy.

Z pierwszych tak kompleksowych sondaży wyłania się wstrząsający obraz niewiedzy, zwłaszcza Polaków o Litwie – w raporcie słowem kluczem jest ignorancja (szersze omówienie POLITYKA 16). Oto kilka wymownych przykładów: tylko 4 proc. Polaków ma na Litwie jakiegokolwiek kontakty, ledwie 58 proc. potrafi wskazać ten kraj na mapie, jedna piąta zamiast Litwy zaznaczyła Białoruś, 5 proc. Ukrainę. Można mieć tylko nadzieję, że mieli na myśli dawne Wielkie Księstwo. Pytano także o zdarzenia, które mogły być powodem litewskich pretensji do Polski. Litwini bardzo często wymieniali naruszenie umowy suwalskiej (zawieszenia broni z 1920 r.), wśród Polaków nieznanej. I nawet autorzy raportu – w końcu publikacji skierowanej do specjalistów – zdecydowali się na zamieszczenie w przypisie stosownego objaśnienia.

Analitycy przepytali także ekspertów z obu krajów, w tym naukowców i przedstawicieli ośrodków badawczych. Za charakterystyczną uznano następującą opinię: „wielu polskich polityków pewnie do końca nie rozumie, o co oba kraje w ogóle się kłócą”. Co znajduje potwierdzenie w niewielkiej liczbie polskich polityków, którzy w tzw. sprawach wschodnich mają do powiedzenia coś więcej niż kilka komunałów.

Szeręg nieporozumień w stosunkach Polski z sąsiadami wynika – patrząc z polskiej perspektywy – z drobiazgów. Problem zaczyna się już na poziomie języka. Litewska prasa przeszło sto lat temu podkreślała negatywny wydźwięk polskiego wyrażenia „na Litwie”. Podobnie Polacy mówią, że wybierają się na Ukrainę i na Białoruś, a więc terytoria przez siebie zdominowane i uważane za peryferie, ale jadą do Niemiec, Francji i do Rosji, tak samo mówiąc zresztą o większości niewyspiarskich krajów świata (i o Wielkopolsce i Małopolsce, gdzie znajdowały się pierwsze polskie stolice). Gdzieś w połowie XIX w. pojawił się problem drugi – dotąd miano „Litwin” zarezerwowane było dla szlacheckich, prawie całkowicie spolonizowanych obywateli Wielkiego Księstwa. Właśnie takimi Litwinami byli m.in. Kościuszko, Traugutt, Moniuszko, Piłsudski, Giedroyc czy Miłosz. – I to ta Litwa była ojczyzną z inwokacji „Pana Tadeusza” – mówi Krzysztof Buchowski, lituanista z Uniwersytetu w Białymstoku, także zdobywca naszej Nagrody Historycznej. Prawdziwi „Litwini” traktowali mieszkańców wsi mówiących po białorusku, ukraińsku czy litewsku z naturalnym wtedy paternalistycznym dystansem, właściwym dla stosunków dworu z wsią. Wraz z początkiem litewskiego odrodzenia narodowego na przełomie XIX i XX w. nowa inteligencja narodowa wywodząca się ze wsi odrzuciła „pańską” kulturę polską, oskarżając „Litwinów” o zaprzaństwo narodowe – głównie litewskie, a także ukraińskie.

– Wielu Litwinów uważa, że litewski złoty wiek skończył się po zawarciu unii lubelskiej, wraz z którą zaczęła się polska kolonizacja. Litwini wiedzą, że w Lublinie skończyła się autonomia Księstwa, pojawiła się też granica z Koroną, na której pobierano cła – mówiła w listopadzie 2011 r. na spotkaniu z polskimi dziennikarzami prof. Irena Vaišvilaitė, litewska historyk i od niedawna ambasador Wilna przy Stolicy Apostolskiej. Między wojnami zerwanie z tradycją Księstwa w Litwie było zupełne, do tego stopnia, że trybunał ludowy w teatralnym procesie w 1930 r. uznał Władysława Jagiełłę za zdrajcę, a II RP, choćby na tle sporu o Wilno, była głównym wrogiem. Na głucho zamknięto granicę, nie łączono bez-

pośrednich rozmów telefonicznych, nie przesyłano listów.

Postkolonializm

Dlatego dzisiejsze polskie nawiązania do tradycji Rzeczypospolitej Obojga Narodów – podnoszone w dobrej wierze, chociażby dla załagodzenia sporu o sytuację mniejszości polskiej na Litwie – może być przez Litwinów brane za przejaw polskiego postkolonializmu. To przede wszystkim polska mniejszość uważa się za jedynych depozytariuszy Wielkiego Księstwa Litewskiego i oburza się na Koroniarzy, że o tym nie pamiętają i razem z trumną Czesława Miłosza tak łatwo pogrzebali ostatniego dziedzica Księstwa.

Na pewien paradoks polskiego dziedziczenia „wielkopaństwa” zwraca uwagę prof. Daniel Beauvois: – *Większość osób czujących się polskimi panami nie ma nic wspólnego ze szlachtą, same są pochodzenia chamskiego. Sienkiewicz potrafił przekonać, że każdy Polak może być szlachcicem, choć 90 proc. społeczeństwa wywodzi się z chłopów.* Rozerwanie rodzinnej, terytorialnej i politycznej ciągłości państwa polskiego ułatwiło ogólnonarodową nobilitację Polaków – wszyscy jesteśmy spadkobiercami dawnej polskiej szlachty.

Paradoksalnie w poczucie wyższości wbijają Polaków również coraz częstsze kresowe wyjazdy. Niezależnie, czy jest to wyjazd zorganizowany (specjalizuje się w nich sporo biur podróży), czy też jest to eskapada na własną rękę, program jest podobny i wytyczają go ślady polskości: kościoły, pałace, dwory, cmentarze, twierdze, miejsca straceń, dekle studzienek kanalizacyjnych w Wilnie i we Lwowie. Rzadziej – spotkania z rodakami, prawie nigdy dokonania współczesnej Białorusi czy Ukrainy, zgodnie z założeniem, że nie ma ich wiele, bo jakie osiągnięcia mogą mieć zsovietyzowane społeczeństwa, które zaprzepaściły dorobek demokracji szlacheckiej, zaorały ślady po dworach, a zamiast tego ich mitem założycielskim jest Wielka Wojna Ojczyzniana?

W statystykach Ministerstwa Sportu i Turystyki wśród typowo turystycznych wyjazdów zagranicznych Polaków Białoruś i Ukraina nie są wymieniane; Litwa razem z Tunezją, a za Włochami, Czechami, Chorwacją, Turcją, Egiptem, Hiszpanią, Grecją, znalazła się na końcu zestawienia w kategorii „poniżej 3 proc.”. Z danych litewskich wynika, że od pięciu lat liczba polskich odwiedzających rośnie. Polacy są na pierwszym miejscu przyjeżdżających nacji, co roku jest ich około miliona, z czego nocuje tylko jedna czwarta – reszta wraca do Polski tego samego dnia.

Podobnie jak młodzi Żydzi przyjeżdżający z Izraela do Polski w celu obejrzenia obozów koncentracyjnych, warszawskiego getta czy Teatru Żydowskiego, także polscy turyści na Kresach nie zbaczają z utar-

tych szlaków. Nawet jeśli ktoś wyprawia się w poszukiwaniu gniazd rodzinnych, zazwyczaj pojedzie na wieś, co na Białorusi i Ukrainie łatwo pogłębia stereotyp o upadku cywilizacyjnym regionu po przesunięciu granic. Zwłaszcza że siłą rzeczy dociera się do najstarszych mieszkańców, a właściwie mieszkank, które np. na Białorusi zazwyczaj przeżyły pijących na potęgę mężów.

Jednak nawet sympatyczne spotkania z dzisiejszymi mieszkańcami mogą nie zrównoważyć fatalnego wrażenia rozkopanych cmentarzy (choć są często w lepszym stanie niż niemieckie nekropolie w Polsce) czy samotnej starej lipy na środku bezkresnego pola żyta, która jest jedyną pozostałością po prężnym 75 lat temu majątku.

Prof. Beauvois zachęca, aby jeżdżąc na Kresy, rezygnować z pychy i karmienia narodowych mitów: – *Trzeba wyzbyć się patriotycznego zachwyty, który jest złym doradcą, i przyjąć, że jak Polacy mają pretensje do Niemców, tak samo Litwini i Ukraińcy mają prawo czuć się pokrzywdzeni przez Polaków. Niezbędna jest tu pokora.*

Tylko jak się na nią zdobyć, skoro kolejne pokolenia odczuwają bóle fantomowe po utracie Wilna i Lwowa, Stanisławowa i Dzisiny?

W sondażach Instytutu Spraw Publicznych prawie połowa pytanym Polaków przyznała, że swoją wiedzę o Litwie czerpie przede wszystkim ze szkoły.

– *O ile polska nauka historyczna jest na bardzo dobrym poziomie i stara się uwzględnić racje sąsiadów, o tyle podręczniki nie nadążają za pracami naukowców* – stwierdza prof. Beauvois. – *Wiele osób wyobraża sobie, że model demokracji szlacheckiej, zwicznijętej od samego początku, jest jeszcze aktualny i może służyć przykładem i wraz z sarmatyzmem być bodźcem dla dumy narodowej. Patrząc z tej perspektywy, a nie praw człowieka, Polakom trudno będzie zrezygnować ze swoich wizji.*

Szkola nie staje na wysokości zadania, a także rodzinne opowieści o Kresach często milczą o powszechnej biedzie, niesprawiedliwości, pogardliwym stosunku elit do narodzin tożsamości narodowych albo praw języków, uznawanych bardziej za lokalne narzecza. Takie szczegóły pomijają także ci, na których wrażenie robi mapa Rzeczypospolitej Obojga Narodów w pełni swej terytorialnej chwały, od Mołdawii po Smoleńsk i Gdańsk, lecząca dowolne polskie kompleksy.

Dotąd nie było okazji do dyskusji o „polskich panach” i dorobku polskiej działalności na Wschodzie. Zarówno sprzed lat, jak i tej najbardziej współczesnej. Trzebaż by dopiero kilku polskich chamów, by taką debatę sprowokować?

JĘDRZEJ WINIECKI

O „polskich panach” słuchaj
w środę 21 sierpnia o godz. 13.20.



REKLAMA



DOLINA CHARLOTTY

Resort & SPA

Zatrzymaj czas w sercu Magicznej Doliny Charlotty

Tu z dala od zgiełku odnajdziesz
swoją oazę spokoju.

To miejsce, w którym wypoczynek
i relaks sprawią, że zapomnisz
o wszystkim, a chwile, które tu
spędzisz będą niezapomniane.



Pozwól sobie na odrobinę luksusu
dla ciała, umysłu i ducha.

Dolina Charlotty
Aktywny relaks dla Ciebie
i Twojej rodziny



Dolina Charlotty Resort & SPA

Strzelinko koło Słupska

kontakt: +48 59 847 43 41, +48 59 847 43 00,

hotel@charlotta.pl

www.dolinacharlotty.pl



© LESZEK ZYCH

Ujawniamy zarobki Polaków

Związkowcy chcą, by informacje o zarobkach były jawne.

Kiedy każdy każdemu będzie mógł zajrzeć do kieszeni, znikną spekulacje i nieudomówienia. Uprzedzając fakty, dokonaliśmy lustracji zarobkowej Polaków: ile my właściwie zarabiamy?

ADAM GRZESZAK

Pity na stół! – wezwał przewodniczący OPZZ Jan Guz. „Ujawnienie PIT, szczególnie przez osoby zajmujące ważne funkcje w życiu społecznym, uciłoby spekulacje na temat poziomu dochodów kadry kierowniczej, polityków, dziennikarzy czy związkowców. Dzięki temu powszechna stałaby się wiedza, jaka jest relacja między poziomem wynagrodzeń związkowców i poziomem dochodów prezesów spółek, elit dzien-

nikarskich czy środowisk politycznych” – wyjaśnił w swoim apelu. To wezwanie do zarobkowej lustracji jest kolejną odsłoną w narastającym konflikcie na linii związki zawodowe–rząd. Związkowcy zapowiadają gorący wrzesień i próbę sił, w trakcie której będą upominać się o podwyżki. Dlatego zerwali rozmowy w Komisji Trójkątnej, gdzie wraz z przedstawicielami rządu i pracodawców mieli uzgodnić wysokość płacy minimalnej na przyszły rok.

Poszło o bankomaty

Bezpośrednią przyczyną pomysłu ujawnienia zarobków stał się konflikt w Grupie PKP, którą od 2012 r. twardą ręką kieruje Jakub Karnowski. Ten młody finansista, były prezes PKO TFI, a w przeszłości doradca prezesa NBP Leszka Balcerowicza, dostał zadanie zrobienia wreszcie porządków w PKP i przygotowania spółek przewozowych do wejścia na giełdę. W pierwszej kolejności ma to dotyczyć przewoźnika towarowego PKP Cargo. Kolejarscy związkowcy znienawidzili Karnowskiego od pierwszego dnia, bo mało, że nie jest kolejarzem, to w przeciwieństwie do poprzedników nie słucha się związkowców, a dotychczas to oni zarządzili na kolei. Pograża go związek z Balcerowiczem i to, że do PKP ściągnął grupę podobnych sobie młodych bankowców zwanych przez kolejarzy pogardliwie bankomatami.

Związkowcy wysłali więc donos do premiera: „średnie zarobki Prezesa Jakuba Karnowskiego (59 tys. zł miesięcznie) plus premia roczna w wysokości 6-miesięcznego wynagrodzenia i podobnie Członków Zarządu PKP SA wzrosły prawie 3-krotnie. Jak to jest, że poprzednie Zarządy PKP SA musiały przestrzegać «ustawy kominowej» a Pan Jakub Karnowski – wychowanek Leszka Balcerowicza (jak sam podkreśla) nie musi tych przepisów przestrzegać?”.

Prezes zrewanżował się, ujawniając, że Grupa PKP łoży na związki zawodowe 25 mln zł rocznie. To 2,5 razy więcej niż potężny, uzwiązkowiony i dużo bogatszy koncern KGHM. W PKP działa 20 ogólnopolskich central związkowych i dziesiątki związków. 15 mln zł pochłaniają same płace 189 etatowych związkowców (zwolnionych z obowiązku pracy), a do tego dochodzi 9 mln zł na wynagrodzenia osób oddelegowanych czasowo do działalności związkowej (100 proc. wynagrodzenia bez obowiązku świadczenia pracy).

Najbardziej jednak związkowców ubodło, że prezes podniósł rękę na jednego z liderów Solidarności w PKP Cargo Józefa Wilka, który, jak się okazuje, zarabia 33–39 tys. zł miesięcznie, podczas gdy średnie zarobki w Cargo wynoszą 3,8 tys. zł. Przy okazji wyszło na jaw, że te zarobki były prawdopodobnie po części efektem oszustwa, więc skończyło się na doniesieniu do prokuratury.

Do prasy wyciekły też informacje o wysokich zarobkach innych liderów, co „Super Express” skomentował w swoim stylu: „oto jak pasą się na kolei związkowi bogacze”. Dlatego szefowie central związkowych stracili cierpliwość i zażądali, by we wszystkich firmach wywieszać listy z informacjami o zarobkach. „Przy jawności plac zwiększyłby się nacisk na zmniejszenie rozwarstwienia dochodowego. Nie do zaakceptowania są często spotykane obecnie sytuacje, gdy w firmach prezes zarabia dziesiątki razy więcej niż jego szeregowi pracownicy” – przekonuje szef OPZZ.

Na państwowym i prywatnym

Według najnowszych badań GUS, aktywnych zawodowo jest 55,5 proc. Polaków w wieku produkcyjnym. W sumie pracuje 15,3 mln osób, z czego 8,5 mln to mężczyźni, a 6,8 mln kobiety. Z tej grupy 11,9 mln osób jest pracownikami najemnymi. Pozostali to pracodawcy, w tym także samozatrudnieni, czyli pracujący na własny rachunek oraz pomagający członkowie rodzin. Spośród pracowników najemnych ok. 8,7 mln jest zatrudnionych na czas nieokreślony, 3,1 mln ma umowy czasowe.

Proponowana lustracja zarobkowa dotyczyłaby zapewne pracowników najemnych. Co by ujawniła? Po pierwsze, że nominalne płace rosną. Rośnie też szybko płaca minimalna – jeśli w 2005 r. wynosiła 849 zł, to w tym roku jest to już 1600 zł (w przyszłym roku będzie 1680 zł). Średnia emerytura w skali kraju to 1820 zł, najwyższymi mogą się pochwalić Ślązacy (2137 zł). Średnia renta rolnicza – 1054 zł.

W drugim kwartale tego roku przeciętne wynagrodzenie brutto wyniosło 3612 zł – o 3,3 proc. więcej niż przed rokiem. Ekonomistom ten skromny wzrost nie zachwycił, ale odzwierciedla on wciąż słabe tempo rozwoju polskiej gospodarki. Na naszą korzyść działa niska inflacja, która sprawia, że także w wymiarze realnym wynagrodzenia rosną. W ubiegłym roku był z tym problem.

Przeciętne wynagrodzenie podawane przez GUS jest wielkością statystyczną odzwierciedlającą tendencje gospodarcze, ale osobę nieorientowaną może wprowadzać w błąd. Nie oznacza, że większość Polaków otrzymuje wynagrodzenie zbliżone do podanej kwoty. W rzeczywistości wynagrodzenia niższe od 3543 zł otrzymuje blisko 65 proc. zatrudnionych, a jedynie 10 proc. zarabia powyżej 5850 zł. (Dlatego w publikowanym przez nas zestawieniu przeciętnych wynagrodzeń w poszczególnych zawodach podawana jest nie średnia statystyczna, ale mediana, czyli wielkość dzieląca populację zatrudnionych na równe części; połowa zarabia poniżej tej kwoty, a połowa powyżej).

Najlepiej zarabiają przedstawiciele władz publicznych, wyżsi urzędnicy, kierownicy i specjaliści, a także technicy. Do najlepiej wynagradzanych branż należą sektory informatyczny i bankowy oraz górnictwo i energetyka. Generalnie wyższe wynagrodzenia zapewnia państwo niż przedsiębiorcy prywatni, co wyjaśnia, dlaczego związkowcy stawiają taki opór prywatyzacji.

Silniejsi i mądrzejsi

Drugą odmiennością w systemach wynagradzania pracodawców prywatnych i państwowych jest różna ocena kwalifikacji. Państwo wyżej ceni wysiłek fizyczny, pracodawcy prywatni więcej płacą tam, gdzie wymagane są wysokie kwalifikacje. – *Z naszych badań wynika, że członkowie zarządów w spółkach kontrolowanych przez państwo zarabiają średnio o 30–40 proc. mniej niż ich odpowiednicy w spółkach prywatnych* (ramka na s. 18) – wyjaśnia Barbara Mierzejewska, ekspert z dziedziny zarządzania zasobami ludzkimi z firmy PwC, współautorka raportu na temat wynagradzania prezesów i członków zarządów spółek giełdowych. Państwo ma tendencję do spłaszczania struktury wynagrodzeń, bo to bardziej podoba się wyborcom. Panuje przekonanie, że w Polsce mamy do czynienia z nadmiernym, a co gorsza rosnącym, rozwarstwieniem dochodów i trzeba z tym walczyć. Tymczasem z badań wynika, że tzw. współczynnik Giniego, mierzący stopień nierówności dochodów, w przypadku Polski nie odbiega od średniej UE.

Polityka wynagradzania stosowana przez państwo budzi zastrzeżenia prywatnych pracodawców. – *Państwo może sobie pozwolić na podwyżki nawet wówczas, gdy firma przynosi straty, bez związku ze wzrostem wydajności, może też nie zwracać uwagi na sytuację rynkową. Państwowe firmy są chronione, działają głównie w branżach, w których nie spotykają się z prywatną konkurencją albo jest ona słabowa. Koszty takiej polityki, np. w górnictwie czy energetyce, są po prostu dopisywane odbiorcom do rachunku. To ogranicza konkurencyjność polskiej gospodarki* – ubolewa Jeremi Mordasiewicz z Lewiatana, członek Komisji Trójstronnej reprezentujący stronę pracodawców.

Problem dostrzega także dr Kazimierz Sedlak, ekspert w dziedzinie wynagradzania. Jego zdaniem państwo nie prowadzi polityki wynagradzania opartej na kryteriach merytorycznych, ale nie przekroczyło również granic racjonalności, dlatego nie mieliśmy problemów, jakie stały się udziałem krajów, które popadły w poważny kryzys, jak Grecja czy Cypr. Zastrzeżenia budzi natomiast polityka fiskusa, który ogranicza możliwości prowadzenia nowoczesnej polityki wynagrodzeń opartej na tzw. łącznych korzyściach z pracy (*Total Rewards*). – *Poza wynagrodzeniem finansowym pracodawca może zaoferować pracownikowi dodatkowe formy gratyfikacji, które mają wymiar niepieniężny, np. szkolenia, opiekę medyczną, kartę wstępu do klubu fitness. To tworzy silniejsze relacje między pracownikiem a pracodawcą. Tymczasem fiskus stara się zniechęcać pracodawców do takiej polityki. Wszystko przelicza na pieniądze i obciąża podatkami. Władze nie zdają sobie sprawy ze szkodliwości takiej polityki, która ogranicza rozwój kapitału społecznego* – wyjaśnia dr Kazimierz Sedlak.

Starczą 2–3 tysiące...

Na pytanie, ile Polak zarabia, jest tylko jedna zadowalająca odpowiedź: za mało. I to mimo że w ciągu ostatnich dwóch dekad nasza zamożność wrosła w stopniu nienotowanym w historii. ►